

## 2.Przeczytaj poniższe fragmenty i sporządź notatkę na temat Wokulskiego jako pozytywisty

Wokulski – praca na rzecz innych

### Praca organiczna

#### Wokulski – arystokracja

#### Książę o Wokulskim (przyjęcie u hrabiny)

— Musimy się lepiej poznać, panie Wokulski — mówił książę. — Musisz pan zbli- Pozycja społeczna żyć się do naszej sfery, w której, wierz mi, są rozumy i szlachetne serca, ale — brak inicjatywy...

— Jestem dorobkiewiczem, nie mam tytułu... — odparł Wokulski chcąc cośkolwiek odpowiedzieć.

— Przeciwnie, masz pan... jeden tytuł: pracę, drugi: uczciwość, trzeci: zdolności, czwarty: energię... Tych tytułów nam potrzeba do odrodzenia kraju, to nam daj, a przyjmujemy cię jak... brata...

\*\*\*

— A, jesteś pan — zawołał książę. — Już wiem, jaki ułożyście spisek z panem Łęckim. Spółka do handlu ze Wschodem — wyborna myśl! Musicie i mnie do niej przyjąć... Musimy poznać się bliżej... — A widząc, że Wokulski milczy, dodał: — Prawda, jakim ja nudny, panie Wokulski? Ale to nic nie pomoże, musicie zbliżyć się do nas, pan i panu podobni i — razem idźmy. Wasze firmy są także herbami, nasze herby są także firmami, które gwarantują rzetelność w prowadzeniu interesów...

\*\*\*

#### przyjęcie u księcia

— Wiadomo panom — zaczął Wokulski — że Warszawa jest handlową stacją między Europą zachodnią i wschodnią. Tu zbiera się i przechodzi przez nasze ręce część towarów fancuskich i niemieckich przeznaczonych dla Rosji, z czego moglibyśmy mieć pewne zyski, gdyby nasz handel...

— Nie znajdował się w ręku Żydów — wtrącił półgłosem ktoś od stołu, gdzie siedzieli kupcy i przemysłowcy.

— Nie — odparł Wokulski. — Zyski istniałyby wówczas, gdyby nasz handel był Żyd prowadzony porządnie.

— Z Żydami nie może być porządny...

— Dziś jednak — przerwał adwokat księcia — szanowny pan Wokulski daje nam możność podstawienia kapitałów chrześcijańskich w miejsce kapitału starozakonnych...

— Pan Wokulski sam wprowadza Żydów do handlu — bryznął oponent ze stanu kupieckiego.

Zrobiło się cicho.

— Ze sposobu prowadzenia moich interesów nie zdaję sprawy przed nikim — ciągnął dalej Wokulski. — Wskazuję panom drogę uporządkowania handlu Warszawy z zagranicą, co stanowi pierwszą połowę mego projektu i jedno źródło zysku dla krajowych kapitałów. Drugim źródłem jest handel z Rosją. Znajdują się tam towary poszukiwane u nas i tanie. Spółka, która zajęłaby się nimi, mogłaby mieć piętnaście do dwudziestu

procentów rocznie od wyłożonego kapitału. Na pierwszym miejscu stawiam tkaniny...

(...)

— To jest podkopywanie naszego przemysłu — odezwał się oponent z grupy kupieckiej.

— Mnie nie obchodzi fabrykanci, tylko konsumenci... — odpowiedział Wokulski. Kupcy i przemysłowcy poczęli szeptać między sobą w sposób mało życzliwy dla Wokulskiego.

— Otóż i dotarliśmy do interesu publicznego!... — zawołał wzruszonym głosem książę.

— Kwestia zarysowuje się tak: czy projekta szanownego pana Wokulskiego są objawem pomyślnym dla kraju?... Panie mecenasie... — zwrócił się książę do adwokata, czując potrzebę wyrażenia się nim w kłopotliwej nieco sytuacji.

— Szanowny pan Wokulski — zabrał głos adwokat — z właściwą mu gruntownością raczy nas objaśnić: czy sprowadzanie owych tkanin aż z tak daleka nie przyniesie uszczerbku naszym fabrykom?

— Przede wszystkim — rzekł Wokulski — owe nasze fabryki nie są naszymi, lecz niemieckimi...

— Oho!... — zawołał oponent z grupy kupców.

— Jestem gotów — mówił Wokulski — natychmiast wyliczyć fabryki, w których cała administracja i wszyscy lepiej płatni robotnicy są Niemcami, których kapitał jest niemiecki, a rada zarządzająca rezyduje w Niemczech; gdzie nareszcie robotnik nasz nie ma możności ukształcić się wyżej w swoim fachu, ale jest parobkiem źle płatnym, źle traktowanym i na dobitkę germanizowanym...

(...)

Sądzę, że nad kwestią miejscowych fabryk możemy przejść do porządku. Teraz szanowny pan Wokulski raczy nam, z właściwą mu jednością, objaśnić: jakie pozytywne korzyści z jego projektu odniesie...

— Nasz nieszczęśliwy kraj — zakończył książę.

— Proszę panów — mówił Wokulski — gdyby lokiec mego perkalu kosztował tylko o dwa grosze taniej niż dziś, wówczas na każdym milionie kupionych tu łokci ogół oszczędziłby dziesięć tysięcy rubli...

(...)

Dziesięć tysięcy rubli — ciągnął Wokulski — jest to fundament dobrobytu dla dwudziestu rodzin co najmniej...

— Kropla w morzu — mruknął jeden z kupców.

— Ale jest jeszcze inny wzgląd — mówił Wokulski — obchodzący wprawdzie tylko kapitalistów. Mam do dyspozycji towaru za trzy do czterech milionów rubli rocznie...

(...)

— Owe trzy miliony rubli stanowią mój osobisty kredyt i przynoszą mi bardzo mały procent jako pośrednikowi — mówił Wokulski. — Oświadczam jednak, że o ile w miejsce kredytu podstawiliby się gotówkę, zysk z niej wynosiłby piętnaście do dwudziestu procentów, a może więcej. Otóż ten punkt sprawy obchodzi panów, którzy składacie pieniądze w bankach na niski procent. Pieniędźmi tymi obracają inni i zyski ciągną dla siebie. Ja zaś ofiaruję panom sposobność użycia ich bezpośrednio i powiększenia własnych dochodów. Skończyłem.

(...)

— A zatem — mówił (hrabia)— szanowny panowie, w zasadzie przystępujemy do spółki proponowanej przez pana Wokulskiego. Interes wydaje się bardzo dobrym, a obecnie chodzi tylko o bliższe szczegóły i spisanie aktu. Zapraszam więc panów, chcących zostać uczestnikami, do mnie na jutro, o dziewiątej wieczór...

### Praca u podstaw

#### Wokulski – Wysocki

Obok niego stał jakiś człowiek w wypłowiałej kaptocie z rudawym zarostem. Zdjął czapkę i pocałował Wokulskiego w rękę. Wokulski przypatrzył mu się uważnie.

— Wysocki?... — rzekł. — Co ty tu robisz?

— Tu mieszkamy, wielmożny panie, w tym domu — odpowiedział człowiek wskazując na niską lepiankę.

— Dlaczego nie przyjeżdżasz po transporta? — pytał Wokulski.

— Czym przyjadę, panie, kiedy jeszcze na Nowy Rok koń mi padł.

— Cóż robisz?

— A ot tak — razem nic. Zimowaliśmy u brata, co jest dróżnikiem na Wiedeńskiej Kolei. Ale i jemu bieda, bo go ze Skierniewic<sup>298</sup> przenieśli pod Częstochowę. W Skierniewicach ma trzy morgi i żył jak bogacz, a dzisiaj i on kiepski, i grunt wynędznienie bez dozoru.

— No, a z wami co teraz?

— Kobieta niby trochę pierze, ale takim, co nie bardzo mają czym płacić, a ja — ot tak... Marniejemy, panie... nie pierwsi i nie ostatni. Jeszcze póki wielkiego postu, to Głód człowiek krzepi się mowiący: dzisiaj poćsiż za dusze zmarłe, jutro na pamiątkę, że Chrystus Pan nic nie jadł, pojutrze, na intencję, ażeby Bóg źle odmienił. Zaś po świętach nie będzie nawet sposobu i dzieciom wyłomaczyć, na jaką intencję nie jedza...

Ale i wielmożny pan coś markotnie wygląda? Taki już widać czas nastał, że wszyscy muszą zginąć — westchnął ubogi człowiek.

Wokulski zamyslił się.

— Komorne wasze zapłacone? — spytał. Pozycja społeczna

— Nawet nie ma, panie, co płacić, bo nas i tak wypędzą.

— A dlaczego nie przyszedłeś do sklepu, do pana Rzeckiego? — spytał Wokulski.

— Nie śmiałem, panie. Koń odszedł, wóz u Żyda, kubrak na mnie jak na dziadzie... Z czymże było przyjść i jeszcze ludziom głowę zaprztać?...

Wokulski wy dobył portmonetkę.

— Masz tu — rzekł — dziesięć rubli na święta. Jutro w południe przyjdiesz do sklepu i dostaniesz kartkę na Pragę. Tam u handlarza wybierzesz sobie konia, a po świętach przyjeżdżaj do roboty. U mnie zarobisz ze trzy ruble na dzień, więc dług spłacisz łatwo. Zresztą dasz sobie radę.

Ubogi człowiek dotknąwszy pieniędzy zaczął się trząść. Uważnie słuchał Wokulskiego, a lzy spływały mu po wychudzonej twarzy.

— Czy panu powiedział kto — zapytał po chwili — że z nami jest... ot tak?... Bo już nam ktoś — dodał szeptem — przysłał siostrę miłosierdzia, będzie z miesiąc. Mówiła, że muszę być ładaco, i dała nam kartkę na pud węgla z Żelaznej ulicy. Czy może pan tak sam z siebie?...

— Idź do domu, a jutro bądź w sklepie — odparł Wokulski.

— Idę, panie — odpowiedział człowiek kłaniając się do ziemi.

Odszedł, lecz przystawał na drodze, widocznie rozmyślał nad niespodziewanym szczęściem.

W tej chwili Wokulskiego tknęło szczególne przeczucie.

— Wysocki!... — zawołał. — A twemu bratu jak na imię?

— Kasper — odpowiedział człowiek wracając pędem.

— Przy jakiej mieszka stacji?

— Przy Częstochowie, panie.

— Idź do domu. Może Kaspra przeniosą do Skierniewic.

### Wokulski - Marianna

Wokulski siedział bez ruchu. Wreszcie zapytał:

— Ile masz lat?  
— Mówi się, że szesnaście, ale naprawdę mam dziewiętnaście.  
— Chcesz stamtąd wyjść?  
— A — choćby do piekła. Już mi tak dokuczali... Ale...  
— Cóż?  
— Pewnie nic z tego nie będzie... Wyjdę dziś, to po świętach sprowadzą mnie i zapłacą jak wtedy w karnawale, com później tydzień leżała.  
— Nie sprowadzą.  
— Akurat! Mam przecie dług...  
— Duży?  
— Oho!... z pięćdziesiąt rubli. Nie wiem nawet, skąd się wziął, bo za wszystko płacę podwójnie. Ale jest... U nas tak zawsze. A jeszcze jak usłyszą, że tamten pan ma pieniądze, to powiedzą, że ich okradłam, i narachują, ile im się podoba.  
Wokulski czuł, że opuszcza go odwaga.  
— Powiedz mi, czy ty zechcesz pracować?  
— A co będę miała do roboty?  
— Nauczysz się szyć.  
— To na nic. Byłam przecie w szwalni. Ale z ośmiu rubli na miesiąc nikt nie wyżyje. Wreszcie — jestem tyle jeszcze warta, że mogę nikogo nie obszywać.  
Wokulski podniósł głowę.  
— Nie chcesz wyjść stamtąd!  
— Ale chcę!  
— Więc decyduj się natychmiast. Albo weźmiesz się do roboty, bo darmo nikt na świecie chleba nie jada...  
— I to nieprawda — przerwała. — Ten stary pan nic przecie nie robi, a pieniądze ma. Nieraz też mówił, że mnie już o nic głowa nie zaboli...  
— Nie pójdziesz do żadnego pana, tylko do magdalenek. Albo wracaj na miejsce.  
— Magdalenki mnie nie wezmą. Trzeba zapłacić dług i mieć poręczenie...  
— Wszystko będzie załatwione, jeżeli tam pójdziesz.  
— Jakże ja do nich pójde?  
— Dam ci list, który zaraz odniesiesz, i tam zostaniesz. Chcesz czy nie chcesz?...  
— Ha! niech pan da list. Zobaczę, jak mi tam będzie.  
Usiadła i ogłądała się po pokoju.  
Wokulski napisał list, opowiedział, gdzie ma iść, i w końcu dodał:  
— Masz wóz i przewóz. Będiesz dobra i pracowita, będzie ci dobrze; ale jeżeli nie skorzystasz z okazji, rób, co ci się podoba. Możesz iść.

### Wokulski – Węgielek

— Jest tu — rzekł (proboszcz) — niejaki Węgielek, sprytny hultaj, trochę kowal, trochę stolarz, więc może on potrafi wyrzeźbić na kamieniu, co potrzeba. Zaraz ja po niego poszlę.  
W ciągu następnego kwadransu zjawił się i Węgielek, chłopak dwudziestokilkuletni, Chłop z fizjognomią wesołą i inteligentną. Dowiedziawszy się od księżego sługi, że można coś zarobić, ubrał się w szaraczkowy surdut z krótkim stanem i połami do ziemi i obficie wytarł sobie włosy słoniną.  
Ponieważ Wokulskiemu było pilno, więc pożegnał proboszcza i poszedł z Węgiełkiem w stronę ruin.  
(...)  
Dawniej robiłem stolarszczyznę. i nie mogłem nadażyć. Za jakie parę lat odłożyłbym z tysiąc rubli. Ale spaliłem się tamtego roku i już nie mogę przyjść do siebie. Drzewo, warsztaty, wszystko poszło na węgiel, a mówię łasce pana, był taki ogień, że najwadsze pilniki stopiły się jak smoła. Kiedyś spojrzal na pogorzal, tom ino plunął ze złości, ale dziś nawet mi szkoda tej śliny...  
— Odbudowałeś się? Masz warsztat?  
— Ehe! panie... Odbudowałem w ogrodzie chałupę jak barak, żeby matka miała gdzie gotować, ale warsztaty... Toż by na to, panie, trzeba z pięćset rubli gotowego grosza, słowo honoru daję, jak mi Bóg miły... Ileż to przecie lat ojciec nieboszczyk harował, nim postawił dom i zebrał naczynie.  
Zbliżeli się do ruin. Wokulski rozmyślał.  
— Stuchaj, Węgielek — rzekł nagle — podobasz mi się. Będę w tej okolicy — dodał, cicho wzdychając—będę jeszcze z tydzień... A jeżeli wyrzeźbisz mi dobrze napis, wezmę cię do Warszawy na jakiś czas... Tam przekonam się, co jesteś wart, i... może odnajdą się twoje warsztaty.  
Chłopak pochylał głowę na prawo i na lewo, przypatrując się Wokulskiemu. Nagle przyszło mu na myśl, że musi to być bardzo bogaty pan, a może nawet z takich panów, których niekiedy Bóg zsyła, ażeby opiekowali się ludźmi biednymi i — zdjął czapkę.  
(...)  
Kiedy Wokulski wrócił do domu, zastał u siebie Węgiełka, który czekał na niego od godziny.  
Chłopak wyglądał po warszawsku, ale był trochę mizerny.  
— Wychudłeś, zbladłeś — rzekł Wokulski przypatrzwszy mu się. — Łajdaczyś się czy co?...  
— Nie, panie, tylko dziesięć dni chorowałem. Coś mi się zrobiło na szyi takie paskudne, że mnie doktor pokrajał. Ale już wczoraj poszedłem do roboty.  
— Potrzebujesz pieniędzy?  
— Nie, panie. Chciałem tylko opowiedzieć się względem powrotu do Zaslavia.  
— Już cię korci. A nauczyłeś się czego?  
— Ojej! I ze ślusarkom się trochę... i według stolarci... Koszyków nauczyłem się też wcale pięknych i rysować. A nawet jakby przyszło do malowania, to też...  
Mówiąc to kłaniał się, rumieniał i miętoszył czapkę w rękę.  
— Dobrze — odezwał się po chwili Wokulski. — Na narzędzia dostaniesz sześćset rubli. Wystarczy?... A kiedy chcesz wracać?  
Chłopak zacerwienił się jeszcze mocniej i pocałował Wokulskiego w rękę.  
— Bo ja jeszcze, z przeproszeniem łaski pańskiej, chciałbym się ożenić... Tylko nie wiem... Poskrobał się w głowę.  
— Z kimże to? — spytał Wokulski.  
— Z tą panną Marianną, co mieszka u furmanów Wysockich. Ja też mieszkam w tym domu, tylko na górze.  
„Chce się żenić z moją magdalenką?” — pomyślał Wokulski. Przeszedł się po pokoju i rzekł:  
— A dobrze ty znasz pannę Mariannę?  
— Co nie mam znać? Przecie widzujemy się co dzień trzy razy, a czasami to i przez całą niedzielę albo ja siedzę u niej, albo oboje u Wysockich.  
— No tak. Ale czy wiesz, czym ona była przed rokiem?  
— Wiem, panie. Ledwiem tu przyjechał z łaski pańskiej, zaraz Wysocka mówi do mnie: „Uważaj, młody, bo ona się puszczała...” Takim sposobem od pierwszego dnia wiedziałem, co ona za jedna; okpiwta ze mną nie robiła żadnego.  
(...)  
Więc bywaj zdrów, a przed ślubem wstąp do mnie. Ona będzie miała pięćset rubli posagu, no i co potrzeba na bieliznę i gospodarstwo.

### Wokulski - nauka

— Co to wydawać pieniądze na książki?... Mnie dawaj, bo jak będę musiał przerwać proces, wszystko zmarnieje. Książki nie wydobędą cię z upodlenia, w jakim teraz jesteś, tylko proces. Kiedy go wygram i odzyskamy nasze dobra po dziadku, wtedy przypomną sobie, że Wokulscy stara szlachta, i nawet znajdzie się familia... W zeszłym miesiącu wydałeś dwadzieścia złotych na książki, a mnie akurat tyle brakowało na adwokata... Książki!... zawsze książki... Żebyś był mądry jak Salomon, póki jesteś w sklepie, będą tobą omiatali, chociażżeś szlachcic, a twój dziadek z matki był kasztelanem. Ale jak wygram proces, jak wyniesieni się na wieś...

### ● Przedstaw młodzieńcze fascynacje Wokulskiego nauką.

#### Wokulski- stosunek do nauki

#### Machalski o Wokulskim (młodość bohatera)

— On tu jest u nas ze cztery lata. Do sklepu albo do piwnicy nie bardzo... Ale mechanik!... Zbudował taką maszynę, co pompuje wodę z dołu do góry, a z góry wylewa ją na koto, które właśnie porusza pompę. Taka maszyna może obracać się i pompować do końca świata; ale coś się w niej skrzywiło, więc ruszała się tylko kwadrans. Stała tam na górze, w pokoju jadalnym, i Hoplerowi zwabiła gości; ale od pół roku coś w niej pękło.  
— Otóż jak!... — mówię.  
— No, jeszcze nie taki bardzo — odparł Machalski. — Był tu jeden profesor z gimnazjum realnego, obejrzał pompę i powiedział, że na nic się nie zda, ale że chłopak zdolny i powinien uczyć się. Od tej pory mamy sądny dzień w sklepie. Wokulski zhardział, gościom odmrukuje, w dzień wygląda, jakby drzemiał, a za to uczy się po nocach i kupuje książki. Jego znowu ojciec wolałby te pieniądze użyć na proces o jakiś tam majątek po dziadku... Słyszaleś przecie, co mówił.

\*\*\*

— Aha — zawołał jeden stolownik — widzisz, jak trudno bez schodów wyjść z piwnicy? A tobie zachciewa się od razu skoczyć ze sklepu do uniwersytetu!... Wyjdźże, kiedyś taki mądry... Stach z głębi znowu wysunął ręce, znowu chwycił się za krawędź otworu i wydzwignął się do połowy ciała. Myślałem, że mu krew tryśnie z policzków.  
— Jak on się wydobywa... Pysznie się wydobywał... — zawołał drugi stolownik. Stach zaczęcił nogą o podłogę i po chwili był już w pokoju. Nie rozgniewał się, ale też nie podał ręki żadnemu koleźce, tylko zabrał swój łomoczek i szedł ku drzwiom.

\*\*\*

Czas wolny od nauki poświęcał Stach na próby z balonami. Wziął dużą butlę i w niej za pomocą witrliolu preparował jakiś gaz (już nawet nie pamiętam jaki) i napełniał nim balon nieduży wprawdzie, ale przygotowany bardzo sztucznie. Była pod nim maszyna z wiatraczkiem... No i latało to pod sufitem, dopóki nie zepsuło się przez uderzenie o ścianę. W takim razie Stach znowu latał swój balon, naprawiał maszynkę, napełniał butlę rozmaitymi paskudztwami i znowu próbował, bez końca. Raz butla pękła, a witrliol mało mu nie wypalił oka. Lecz co jego to obchodziło, skoro bodaj za pomocą balonu chciał „wydobyć się” ze swej marnej pozycji.

### ● Jaki wpływ na zainteresowania naukowe Wokulskiego miało jego zesłanie na Syberię?

\*\*\*

## Po powrocie z Syberii

No, juźci do Hopfera nie wróće — odparł uderzając pięścią w stół. — Chyba nie wiesz — dodał — że jestem uczonym; mam nawet rozmaite podziękowania od petersburskich naukowych towarzystw...

„Subiekt od Hopfera — został uczonym!... Stach Wokulski ma podziękowania od petersburskich towarzystw naukowych!... Istna heca...” — pomyślałem.

Co tu dużo gadać. Uplacował się chłopak gdzieś na Starym Mieście i przez pół roku żył ze swej gotówki kupując za nią dużo książek, ale mało jedzenia. Wydawszy pieniądze począł szukać roboty, i wtedy — trafiła się rzecz dziwna. **Kupcy nie dali mu roboty, gdyż był uczonym, a uczeni nie dali mu także, ponieważ był eks-subiektem. Został tedy, jak Twardowski, uczepiony między niebem a ziemią.** Może rozbiłby sobie łeb gdzie pod Nowym Zjazdem, gdyby od czasu do czasu nie przyszedł mu z pomocą. Strach, jak ciężkim było jego życie. Zmizerniał, sposępniał, zdziaczał... Ale nie narzekał

\*\*\*

Potem w wielkich konturach przyszła mu na myśl jego własna historia. Kiedy dzieckiem będąc łaknął wiedzy — oddano go do sklepu z restauracją. Kiedy zabijał się nocną pracą będąc subiektem — wszyscy szydzili z niego, zaciągawszy od kuchcików, skończywszy na upijającej się w sklepie inteligencji. Kiedy nareszcie dostał się do uniwersytetu — prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom.

Odetchnął dopiero na Syberii. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie i przyjaźń, Czerskich, Czekanowskich, Dybowskich. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyzczano go i odesłano do handlu.

- **Kim był Geist? Jakie badania prowadził?**
- **Dlaczego Wokulski zainteresował się pracą profesora Geista?**

\*\*\*

### Wokulski - Geist

— Czym mogę służyć? — spytał jeszcze raz Wokulski ocierając pot z twarzy.

— Powiem niedużo — rzekł Geist. — Pan wie, co to jest chemia organiczna?... Nauka

— Jest to chemia związków węgla...

— A co pan sądzisz o chemii związków wodoru?...

— Że jej nie ma.

— Owszem, jest — odparł Geist. — Tylko zamiast eterów, tłuszczów, ciał aromatycznych

daje nowe aliaże<sup>18</sup>... Nowe aliaże, panie Siużę, z bardzo ciekawymi własnościami... — Czym mogę służyć? — spytał jeszcze raz Wokulski ocierając pot z twarzy.

— Powiem niedużo — rzekł Geist. — Pan wie, co to jest chemia organiczna?... Nauka

— Jest to chemia związków węgla...

— A co pan sądzisz o chemii związków wodoru?...

— Że jej nie ma.

— Owszem, jest — odparł Geist. — Tylko zamiast eterów, tłuszczów, ciał aromatycznych

daje nowe aliaże<sup>18</sup>... Nowe aliaże, panie Siużę, z bardzo ciekawymi własnościami...

(...)

Jestem profesor Geist, stary wariat, jak mówią we wszystkich kawiarniach pod uniwersytetem i szkołą politechniczną. Kiedyś nazywano mnie wielkim chemikiem, dopóki... nie wyszedłem poza granice dziś obowiązujących poglądów chemicznych. Pisałem rozprawy, robiłem wynalazki pod imieniem własnym lub moich wspólników, którzy nawet sumiennie dzielili się ze mną zyskami. Ale od czasu gdy odkrył zjawiska nie mieszczące się w rocznikach Akademii, ogłoszono mnie nie tylko za wariata, ale za heretyka i zdrajcę...

— Tu, w Paryżu? — szepnął Wokulski.

— Oho! — roześmiał się Geist — tu, w Paryżu. W jakimś Altdorfie lub Neustadzie kacerzem i zdrajcą jest ten, kto nie wierzy w pastorów, Bismarcka, w dziesięcioro przykazań i konstytucję pruską. Tu wolno kpić z Bismarcka i konstytucji, ale za to pod groźbą odszczerpienia trzeba wierzyć w tabliczkę mnożenia, teorię ruchu falistego, w stałość ciężarów gatunkowych itd. Pokaż mi pan jedno miasto, w którym nie ścisłano by sobie mózgow jakimiś dogmatami, a — zrobie je stolicą świata i kolebką przyszłej ludzkości...

Wokulski ochłonął; był pewny, że ma do czynienia z maniakiem.

Geist patrzył na niego i wciąż uśmiechał się.

(...)

Geist nie spuszczał z niego oka, lecz stopniowo uspakajał się. W końcu odezwał się:

— Przysuń się tu do stołu... Spójrzyj, co to jest?

Pokazał mu metalową kulkę czarnej barwy. Nauka

— Zdaje mi się, że to jest metal drukarski.

— Weź w rękę...

Wokulski wziął kulkę i aż zdziwił się, tak była ciężka.

— No, to jest sztabka szklana — odparł Wokulski.

— Cha! cha!... — śmiał się Geist. — Weź do ręki, przypatrz się... Prawda, że ciekawe

szkło?... Cięższe od żelaza, z odłamem ziarnistym, wyborny przewodnik ciepła i elektryczności,

pozwała się strugać... Prawda, jak to szkło dobrze udaje metal?... Może chcesz je rozgrzać albo kuć młotem?...

Wokulski przetarł oczy. Nie ulega kwestii, że takiego szkła nie widziano na świecie.

— A to?... — spytał Geist pokazując mu inny kawałek metalu.

— To chyba stal...

— Nie sól i nie potas?... — pytał Geist.

— Nie.

— Weźże do rąk tę stal...

Tu już podziw Wokulskiego przeszedł w pewien rodzaj zaniepokojenia: owa rzekoma stal była lekka jak płatek bibułki.

— Chyba jest pusta w środku?...

— Więc przetnij tę sztabkę, a jeżeli nie masz czym, przyjeźdź do mnie. Zobaczysz tam nierównie więcej podobnych osobliwości i będziesz mógł robić z nimi próby, jakie ci się podoba.

(...)

Wokulski oglądał po kolei ów metal cięższy od platyny, drugi metal przezroczysty, trzeci lżejszy od puchu... Dopóki trzymał je w rękach, wydawały mu się rzeczami najnaturalniejszymi pod słońcem: cóż jest bowiem naturalniejszego aniżeli przedmiot, który oddziaływa na zmysły? Lecz gdy oddał próbki Geistowi, ogarniało go zdziwienie i niedowierzanie, zdziwienie i obawa. Więc znowu oglądał je, kręcił głową, wierzył i wątpił na przemian.

(...)

Pobiegł do żelaznej szafy, otworzył ją w sposób bardzo skomplikowany i po kolei począł wydobywać sztabki metalu cięższego od platyny, lżejszego od wody, to znowu przezroczystego... Wokulski oglądał je, ważył, ogrzewał, kuł, przepuszczał przez nie prąd elektryczny, ciał nożycami. Na próbach tych zeszło mu parę godzin; w rezultacie jednak przekonał się, że przynajmniej pod względem fizycznym ma do czynienia z autentycznymi metalami.

Skończywszy próby Wokulski wyczerpany upadł na fotel; Geist pochował swoje okazy, zamknął szafę i śmiejąc się zapytał:

— No i cóż: fakt czy złudzenie?

— Nic nie rozumiem — szepnął Wokulski ścisając rękoma skronie — głowa mi pęka!... Metal trzy razy lżejszy od wody... niepojęta rzecz!...

— Albo metal o jakie dziesięć procent lżejszy od powietrza, co?... — śmiał się Geist.

Ciężar gatunkowy obalony... prawa natury podkopane, co?... Cha! cha!... Nic z tego wszystkiego. Prawa natury, o ile je znamy, nawet przy moich metalach pozostaną nietknięte.

Rozszerzą się tylko nasze pojęcia o własnościach ciał i ich budowie wewnętrznej, no i rozszerzą się granice ludzkiej techniki.

(...)

Geist znowu otworzył szafę, poszukał, i wydobywszy mały skrawek metalu, barwą przypominającego mosiądz, podał Wokulskiemu mówiąc:

— Weź sobie to jako amulet przeciw powatpiwaniu o moim rozumie czy prawdomówność.

**Ten metal jest około pięciu razy lżejszy od wody, dobrze więc będzie ci przypominał naszą znajomość. Przy tym — dodał śmiejąc się — ma on wielką zaletę:** nie obawia się żadnych odczytników chemicznych... Prędzej zniknie, aniżeli zdradzi mój sekret... A teraz idź już, panie Siużę, odpocznij i namyśl się: co masz zrobić ze sobą?

— Przyjść tu — szepnął Wokulski.

— O nie! nie zaraz!... — odparł Geist. — Jeszcze nie ukończyłeś swoich rachunków ze światem; a że i ja mam na parę lat pieniądze, więc nie nalegam. Przyjdiesz tu, kiedy ci już nic nie zostanie z dawnych złudzeń...

### Wokulski - Ochocki

Pan zajmuje się fizyką czy chemią?... — spytał zdziwiony.

— Ach, czym ja się nie zajmuję!... — odparł Ochocki. — Fizyką, chemią i technologią...

Przecież skończyłem wydział przyrodniczy w uniwersytecie i mechaniczny w politechnice... Zajmuję się wszystkim; czytam i pracuję od rana do nocy, ale — nie robię nic. Udało mi się

trochę ulepszyć mikroskop, zbudować jakiś nowy stos elektryczny, jakąś tam lampę...

Wokulski zdumiewał się coraz więcej.

— Więc to pan jest tym Ochockim, wynalazcą?...

— Ja — odparł młody człowiek. — No, ale i cóż to znaczy?... Razem nic. Kiedy pomyślę, że w dwudziestym ósmym roku tylko tyle zrobiłem, ogarnia mnie desperacja. Mam ochotę albo

porozbijać swoje laboratorium i utonąć w życiu salonowym, do którego mnie ciągną, albo — trzasnąć sobie w łeb... Ogniwio Ochockiego albo — lampa elektryczna Ochockiego... jakież to

glupie!... Rwać się gdzieś od dzieciństwa i utknąć na lampie — to okropne... Dobiać środka życia i nie znaleźć nawet śladu drogi, po której

by się iść chciało — cóż to za rozpacz!...

\*\*\*

Testator zapisał: ogromną sumę stu czterdziestu tysięcy rubli Ochockiemu (...)